



03 / 2019

Od Redakcji

W tym numerze (<https://www.kw.warszawa.pl/echa-gor>) znajdziecie wspomnienie Krysi Palmowskiej o Bogdanie, informację o 80. rocznicy zdobycia Nanda Devi East, relację z odsłonięcia tablic pod Osterwą i we Władysławowie oraz wspomnienie Mirka Krawczyka ze wspinaczki z Andrzejem Czokiem na Wielkiej Jaworowej Turni. W notkach pożegnalnych naszych zmarłych kolegów zarówno w tym numerze, jak i w numerach poprzednich, korzystaliśmy z biogramów zamieszczonych w VI tomie WEGI.

Artykuły, uzupełnienia, uwagi i sprostowania prosimy kierować na adres: echagor@kw.warszawa.pl

Anna Okopińska

Bogdanek

W piątek 24 maja 2019 pożegnaliśmy na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu Bogdana Jankowskiego. Stawiliśmy się tłumnie, Bogdan zamówił nam słoneczną pogodę. Chętnych do wspomnienia było wielu – dla wielu był kimś ważnym i bliskim.

Opuściła nas postać przesympatyczna i bardzo skromna, o wielu talentach, będąca jedną z ikon polskiej działalności w górach wysokich, która zyskała sobie uznanie i opinię człowieka czynu nie tylko w naszym małym górskim środowisku, ale też poza jego granicami – napisano we wspomnieniu zamieszczonym na stronie Wrocławskiego Klubu Wysokogórskiego.

Bogdana poznałam w sezonie zimowym 1974/1975 przy okazji uczestniczenia w jakiejś naukowej konferencji we Wrocławiu. Szykowałam się wtedy do wyprawy na Gaszerbrumy – moją działką była łączność. Bogdan, po udzieleniu mi wyczerpujących wskazówek, jaki sprzęt zabrać, jak zorganizować ośrodek łączności w bazie i jak dokumentować akcję górską, złożył mi propozycję nie do odrzucenia – wypad w Śnieżne Kotły, kultowe miejsce treningu wspinaczy wrocławskich i jeleniogórskich. To, że w ogóle nie byłam przygotowana na taką imprezę nie stanowiło problemu – błyskawicznie zorganizował, co trzeba. Został mi w pamięci obraz grupy młodzieży hasającej w żlebach Śnieżnych Kotłów, a wśród nich uczestników wrocławskiej wyprawy na Broad Peak Middle, która miała działać niedaleko od naszej bazy – nie mogłam przewidzieć, że losy naszych wypraw będą tak różne...

Potem wielokrotnie korzystałam z Jego wsparcia nie tylko przy okazji kolejnych wypraw. Było na przykład spotkanie w Tatrach Słowackich, w Nowej Leśnej, gdzie znalazłam się z kilkuletnim wtedy synem. Bogdan, który przyjechał towarzyszyć dwóm powierzonym Jego opiece nastoletkom, w naturalny sposób przygarnął nas pod swoje skrzydła, w zbiorowym występie zaliczyliśmy Krywań. Bogdan w przedziwny sposób roztaczał wokół siebie aurę bezpieczeństwa.

Urodził się 18 kwietnia 1938 roku w Grodnie. Jak sam o sobie mówił, był wilniukiem, którego wojenna zawierucha rzuciła do Wrocławia. Ta okoliczność w dużym stopniu wyjaśnia to, jaki był.

Taternik, alpinista i himalaista, doktor inżynier elektroniki, pracownik naukowo-dydaktyczny Politechniki Wrocławskiej, był czynny zawodowo niemal do końca. Odszedł w wieku 81 lat, niejako w biegu, zaskakując wiele osób, z którymi się przyjaźnił.

Wspinać zaczął się w 1959 roku, przechodząc naturalną ścieżkę prowadzącą w góry najwyższe: od Tatr (kilka nowych dróg, w tym np. na pn-zach. ścianie Cubryni), przez Alpy (lata 60., m.in. pierwsze polskie przejście Drogi Browna na zach. ścianie Aiguille de Blaitière w 1967 r.), Pamiro-Ałaj (1969 r., zdobycie pięciu dziewiczych szczytów, w tym najwyższego w paśmie, Piku Skalistego) w Pamir (1970 r., Pik Lenina). Potem przyszedł czas na Himalaje i Karakorum.

Uczestniczył w kilku przełomowych wyprawach kierowanych przez Lidera, Andrzeja Zawadę, które na trwałe zapisały się w historii polskiego himalaizmu, m. in w zdobywczej wyprawie na Kunyang Chhish (1971 r.), pionierskiej jesienno-zimowej na Lhotse (1974 r.), pamiętnej zwycięskiej zimowej wyprawie na Everest (1979/1980) i historycznej, pierwszej zimowej ekspedycji na K2 (1987/1988). Potem były jeszcze dwie zimowe próby na Nanga Parbat i znowu K2 zimą (2002/2003) – tym razem pod wodzą Krzysztofa Wielickiego, który przejął pałeczkę po Zawadzie.

Na każdej z wypraw Bogdan organizował łączność radiową, stopniowo zwiększając zasięg komunikacji ze światem w czasach, kiedy nikomu nie śniły się telefony satelitarne, w czym niewątpliwie pomocna była licencja radioamatora-krótkofalowca. Dbał też o dokumentację polskich dokonań, to Jemu zawdzięczamy te najbardziej znane nagrania ze wspomnianych ekspedycji.

W 1980 roku powołał do życia zespół łączności radiowej PZA, którym kierował przez ponad trzydzieści lat. Był też pomysłodawcą i opiekunem nowoczesnej sieci łączności PZA w Tatrach. Mniej znany jest fakt, że w czasie stanu wojennego wspierał swoją wiedzą techniczną Solidarnościową opozycję.

Przede wszystkim jednak był typem społecznika, który całe życie związał ze środowiskiem ludzi gór.

Udzielał się w swoim rodzimym wrocławskim klubie wysokogórskim (prezes w latach 1974-1980 i członek Zarządu przez wiele kadencji) oraz w PZA (członek Zarządu w okresie 1977-1992 i wiceprezes w latach 1995-1998). Działał też w Komisji Dyscyplinarnej i Sądzie Koleżeńskim PZA.

Był instruktorem alpinizmu: od 1964 roku przez czterdzieści lat corocznie szkolił młodzież na letnich i zimowych kursach w „Betlejemce”. Wprowadził w góry wiele znanych osobistości ze środowiska wrocławskiego, m. in. Wandę Rutkiewicz i Alka Lwowa. Wielokrotnie też uczestniczył w trudnych i ryzykownych akcjach ratunkowych.

Zapalony fotograf, był autorem mnóstwa doskonałych zdjęć z gór (w tym znakomitych portretów) i panoram górskich, należał do Związku Polskich Artystów Fotografików. Część Jego zdjęć prezentowana była przy okazji rozmaitych festiwali górskich – pokazy multimedialne Bogdana (w których wykorzystywał nagrania dźwiękowe z różnych wypraw), ilustrujące historię polskiego alpinizmu, zawsze spotykały się z gorącym przyjęciem.

Był współautorem książki *Ostatni atak na Kunyang Chhish* (Warszawa 1973 r.) oraz autorem wielu artykułów zamieszczanych w „Taterniku”.

Członek honorowy PZA, został dwukrotnie odznaczony Złotym Medalem za Wybitne Osiągnięcia Sportowe (1971, 1980 r.) oraz Złotym Krzyżem Zasługi (1985 r.), w 1999 roku otrzymał też nagrodę Fair Play PKOl „za całokształt postaw w działalności szkoleniowej, wyprawowej i organizacyjnej”. Ta ostatnia nagroda chyba najlepiej oddaje Jego zasługi.

Skupiał w sobie wiele unikalnych cech: „złota rączka”, wszechstronny naukowiec, umiejący spożytkować swą wiedzę w najrozmaitszych okolicznościach, zawsze chętnie służący pomocą i podejmujący się działań często bardzo niewdzięcznych. W jednym z wywiadów powie: „Zawsze starałem się robić to, co było potrzebne”.

Był wzorem alpinisty, miał nieposzlakowaną opinię, należał do bardzo wąskiego kręgu prawdziwych górskich autorytetów.

Trudno uwierzyć, że nie zobaczymy już Jego ciepłego uśmiechu i charakterystycznego głosu, emanującego niebiańskim spokojem i życzliwością. Że nie będziemy mogli zwrócić się do Niego z jakimś problemem czy pytaniem dotyczącym szeroko rozumianych spraw technicznych, albo też zasięgnąć opinii w rozmaitych niełatwych kwestiach, jakie przynosi dzisiejszy świat.

Pocieszające jest to, że tam, dokąd trafił, znalazł się na pewno w doborowym towarzystwie.

Krystyna Palmowska



W górach najwyższych

Sukces pierwszej polskiej wyprawy himalajskiej, która 2 lipca 1939 roku dokonała pierwszego wejścia na Nanda Devi East (7434 m), po osiemdziesięciu latach doczekał się należytego docenienia. Wybuch drugiej wojny światowej przesłonił całkowicie radość z polskiego osiągnięcia, którym było zdobycie tak wysokiej góry przez tak mały zespół (Adam Karpiński - kierownik, Stefan Bernadzikiewicz, Jakub Bujak i Janusz Klarner). Na wierzchołku Nanda Devi East stanęli Jakub Bujak i Janusz Klarner. Ze zdobytych wtedy szczytów jedynie Kamet, na który weszli członkowie wyprawy brytyjskiej w 1931 roku, był wyższy – 7756 metrów. Polska wyprawa zakończyła się tragedią – Adam Karpiński i Stefan Bernadzikiewicz zginęli w śnieżno-lodowej lawinie podczas próby wejścia na Tirsuli (7074 m).

W czasach PRL-u o wyprawie się „nie mówiło”, jako że Jakub Bujak wyemigrował do Wielkiej Brytanii, a Janusz Klarner walczył w powstaniu warszawskim. Obaj zaginęli w tajemniczych okolicznościach – Bujak w Walii w 1945 roku, a Klarner w Warszawie w roku 1949. Książka Klarnera, *Nanda Devi East*, mogła zostać wydana dopiero w 1956 roku.

To, iż Nanda Devi East jest górą bardzo trudną, przebiło się do wiadomości publicznej dopiero po oświadczeniu Tenzinga Norgaya, że najtrudniejszą wspinaczką w jego życiu było drugie wejście właśnie na tę górę, którego dokonał z Luisem Dubostem w 1951 roku, a nie zdobycie Everestu.

Tegoroczna polska wyprawa godnie uczciła osiemdziesiątą rocznicę zdobycia Nanda Devi East, 27 czerwca dokonując trzynastego wejścia, choć szczyt do tej pory atakowało ponad trzydzieści wypraw. Jarek Gawrysiak i Wojtek Flaczyński działali w bardzo trudnych warunkach pogodowych.

Warto dodać, że organizatorem tegorocznej wyprawy ze strony hinduskiej była agencja Adventure Mania Expeditions & Exploration, prowadzona przez Anindyę Mukherjee, który uczestniczył w dwunastym wejściu na Nanda Devi East w siedemdziesiątą piątą rocznicę jej zdobycia. Wszyscy himalaiści, którzy działali na południowej grani tej góry, zgodnie potwierdzają, że droga jest trudna i niebezpieczna i chylą czoło przed osiągnięciem polskiej wyprawy w 1939 roku. Była to szósta co do wysokości góra zdobyta w tamtym czasie i z pewnością najtrudniejsza technicznie.

2 lipca 2019 japońscy wspinacze, Kenro Nakajima i Kazuya Hiraide, poprowadzili nową drogę na szczyt Rakaposhi (7788 m), południową ścianą. To ten sam zespół, który w zeszłym roku odebrał w Łądku-Zdroju Złoty Czekan za poprowadzenie nowej drogi na Shispare.

Polacy docenieni

Uczestnicy pamiętnej akcji ratunkowej na Nanga Parbat, Adam Bielecki, Jarosław Botor, Denis Urubko i Piotr Tomala, dekretem prezydenta Francji, Emanuela Mcrona, zostali uhonorowani Legią Honorową w randze kawalera. Pierwszy odznaczenie odebrał Piotr Tomala (pozostali himalaiści przebywali w górach).

Legia Honorowa wręczana jest w Nowy Rok, Wielkanoc i w Święto Narodowe Francji, 14 lipca (lub jego przeddzień) i nadawana wojskowym i cywilom, także cudzoziemcom, za szczególne osiągnięcia. Sportowcy otrzymują ją niezwykle rzadko.

Uroczystości upamiętniające

Tablica pamiątkowa pod Osterwą

W dniach 8-9 czerwca przy Popradzkim Stawie odbyły się uroczystości poświęcone pamięci Eugeniusza Chrobaka, Mirosława Dąsala, Mirosława Gardzielewskiego, Zygmunta Andrzeja Heinricha i Wacława Wojciecha Otręby, którzy zginęli w lawinie pod Mount Everestem w dniu 27 maja 1989 roku. Michał Kochańczyk przesłał zdjęcia ze spotkania w Schronisku przy Popradzkim Stawie i z odsłonięcia tablicy pamiątkowej na Symbolicznym Cmentarzu pod Osterwą.





Gwiazdy we Władysławowie

Jubileuszowa, dwudziesta edycja Alei Gwiazd Sportu, odbyła się 6-7 lipca 2019 roku we Władysławowie. W niedzielę odsłonięto uroczystie osiem nowych gwiazd. Uehonorowani zostali: Mieczysław Nowicki (kolarstwo), Zbigniew Pacelt (pięciobój nowoczesny), Agnieszka Bibrzycka i Małgorzata Dydek (koszykówka), Paweł Zagumny (siatkówka), Tadeusz Olszański (dziennikarz sportowy), Andrzej Marciniak (himalaizm) i Andrzej Gołota (boks).

Gwiazdę Andrzeja Marciniaka osłoniła jego żona Agnieszka wraz z synem Łukaszem, a laudację wygłosiła Dorota Kobierowska, autorka książki *Dosięgnąć Everestu*. Następnie Marzena Bruzdowicz, współautorka rzeźby *Korona Himalajów*, opowiedziała o historii jej powstania.

Z okazji uroczystego odsłonięcia rzeźby w 2014 roku zamontowano tablicę na płycie wyobrażającej Mount Everest, a w 2016 roku tablice na Manaslu i Dhaulagiri. Podczas tegorocznej uroczystości odsłonięte zostały tablice na pozostałych ośmiotysięcznikach, w górę poszybowały balony z nazwami gór Korony Himalajów. Fotorelację Eli Malinowskiej, prezeski Polskiego Klubu Górskiego, możecie obejrzeć pod linkiem: <https://photos.app.goo.gl/5YKaZWtdEPjY3Ga9A>

Ciekawe podsumowanie polskiego udziału w działalności na szczytach Korony Himalajów przedstawił Janek Kiełkowski w biuletynie WEGA 5/2019, który można pobrać ze strony: <https://stapis.com.pl/?p=2454>



Fot. Michał Kochańczyk



Fot. Michał Kochańczyk



Fot. Michał Kochańczyk

Spotkania klubowe

W Morskim Oku

W dniach 31 maja do 2 czerwca 2019 roku odbyło się dwudzieste siódme spotkanie taterników-seniorów w schronisku nad Morskim Okiem. Było zdecydowanie mniej uczestników w poprzednich latach, zabrakło też kierowniczkę schroniska Marysi Łapińskiej, która w trybie pilnym musiała poddać się operacji przepukliny. Zastępowali ją dzielnie córka Patrycja i syn Jakub.

Było pogodnie, mniej lub bardziej pochmurnie. Jak zawsze odbywaliśmy wycieczki. Himalaistki Anka i Krysia, z Zygmuntem Pałuchą, wyruszyły na Szpiglasową Przełęcz, Wojtek Kapturkiewicz dwukrotnie zjechał spod Wrót Chałubińskiego fotografowany przez Adasia Trzaskę, inni okrążali jezioro, narzekając na wezbrane wody. Pozostali spędzili miło czas na zapleczu schroniska.

Poldek Rajwa przybył z księdzem Stanisławem Szczepanikiem, który przyjechał na urlop do ojczyzny z Porto Rico, gdzie pracuje na misjach od czterdziestu lat. Wcześniej wspinał się w KW Gliwice. Msza zaczęła się o osiemnastej na werandzie, modliliśmy się za szesnaście osób, które w minionym roku opuściły ziemski padół.

Do wspólnej obiadokolacji zasiadły pięćdziesiąt trzy osoby. Ja przypominałam sobie tych, którzy byli tu z nami nawet jeszcze rok temu. Zabrakło Jadzi Siemińskiej-Słupskiej, najstarszej bywalczyni spotkań, o wiele młodszego Andrzeja Popowicza, którego wykończył nowotwór, oraz Andrzeja Mandy, który przez szereg lat bywał na naszych spotkaniach z żoną. Teraz przyjechała sama do Krakowa, z urną, ponieważ Andrzej życzył sobie spocząć na wieki w rodzinnym mieście. Za budynkiem „Gazdówki” pojawiła się oparta o głaz tabliczka: „Zbyszek – Bogna”.

Powitałam specjalnie Jolę Jarecką, siostrę Romana Śledziewskiego, która przyleciała do Polski znad kanadyjskiego Pacyfiku. Z „zagraniczników” był jeszcze Edward Ostapowski-Westerlund z Wiednia. Na podziw zasługuje Jerzy Łabęcki, biorący udział w naszym spotkaniu na wózku inwalidzkim po amputacji nogi (można wesprzeć jego rehabilitację i zakup protezy dla Jurka pod linkiem <https://zrzutka.pl/48hb5x>).

Po kolacji część osób gawędziła przy stołach, a duża grupa na werandzie rozpoczęła śpiewy pod kierunkiem Krysi Dolebskiej, którą z Warszawy przywiózł Wojtek Brański. Niestety brakowało naszych tradycyjnych zapiewajłów – Zbyszka Skoczylasa, Staszka Biela czy Staszka Koziela. Impreza skończyła się już o dwudziestej trzeciej.



Fot. Wojciech Kapturkiewicz

Wojtek Kapturkiewicz wraz z zamieszczonym powyżej zdjęciem nadesłał wierszyk ze spotkania w 2008 roku. Czy ktoś pamięta, kto jest jego autorem?

Spotkanie

*Starsi panowie, nobliwe panie,
W Moku, w jadalni jedzą śniadanie.
Z blaszanych pudeł, jak przed pół wiekiem,
Wyjmują płatki i tubki z mlekiem.
Idą po wrzątek, to rzecz sprawdzona,
Zamiast gruzińskiej wrzucą liptona.
Lub zrobią zupkę Knorra z torbeczki
Zamiast poprzedniej Maggi kosteczki.
Inne produkty niż dawniej były,
Ale zwyczaj się nie zmieniły.
Spojrzą na góry, dziwnie wysoko;
Ciut, ciut za trudne to Morskie Oko.
Już nowa młodzież w tych górach grzebie,
Ale jesteśmy tutaj U SIEBIE.*

29.05.2008

Barbara Morawska-Nowak

W Dolinie Będkowskiej

Wojtek Kapturkiewicz donosi, że 13 czerwca, z inicjatywy nieocenionej Basi Morawskiej, odbyło się tradycyjne przemile spotkanie seniorów w Dolinie Będkowskiej. Majowy termin został ze względu na nadmierne wody odwołany, teraz w przybyciu niektórym przeszkodziły upały. Koło siedemnastej w skałkach powitał gości ożywczy deszczyk, potem, przy suto zastawionych stołach, chronił ich przed nim daszek.

Góra od lewej: Andrzej Samolewicz, Wiesiek Stefański, Adaś Trzaska, Jurek i Zosia Niewodniczańscy, Wojciech Kapturkiewicz, Stanisław Kozioł (Koziołek).

Dół od lewej: Ewa Kasprzyk, Basia Morawska, Janek Słupski, Jurek Wala.



Fot. Wojciech Kapturkiewicz

Spotkanie w Rzędkowicach

Małgosia i Janek Kielkowscy jak co roku zapraszają na spotkanie Wegantów i sympatyków Wegantów w skałkach rzędkowickich w ostatni weekend września.

Jaworowa 1972

Moją ukochaną doliną na tatrzańskie zimy była Jaworowa. Poznałem ją dzięki Maćkowi Wochowi (nie mylić z Wachem, choć coś tam kiedyś mieli ze sobą wspólnego). Woch, współautor trudnej drogi na wschodniej Kościelca (z Jungerem), tak barwnie opowiadał w skałkach o zimie w Jaworowej, że postanowiłem spróbować.

Pojechaliśmy we czwórecku: ja z „Bąblem” (Januszem Smolskim) i Maciek ze swoim partnerem Wackiem Kulą. Przyjechaliśmy późno wieczorem i na drugi dzień, gdy wróciliśmy z krótkiego spaceru po dolinie, Maciuś zapragnął piwa. Ja z Bąblem i Wackiem poszedłem przygotować sprzęt, bo wyglądało na to, że robi się pogoda i chcieliśmy wyjść w nocy. Po może godzinie Maciek nadciągnął z wyćcapu w towarzystwie trzech facetów. „Dawaj wódkę”, powiedział. To są Pająki, no, ci sławni wspinacze. Równie chłopaki, zaprosiłem ich na małą wódeczkę.

Dwaj bracia Pochyły i Durana okazali się nie tylko znakomitymi wspinaczami, lecz także niezłe potrafili pić. Szybko skończyły się przyniesione z Polski dwie półlitrowki, na szczęście Słowacy mieli zapas wina przeznaczony dla uczestników obozu wspinaczkowego mieszkających w Jaworowej Chatce. Ja jednak zasnąłem, zanim większość wina została wypita, Maciuś natomiast do końca wyjazdu leczył kaca.

Po tej przygodzie pozostała mi miłość do Jaworowej w zimie. Rok później byłem tam z Bąblem. Tym razem jednak warunki były podłe przez całe dziesięć dni.

Raz, w pierwszych podmuchach halnego, podszedłem pod Wielką Jaworową Turnią, aby wypatrzeć drogę Kurczaba-Szafirskiego, której opis niedawno się pojawił. Ściana była przepiękna i na kilka lat opanowała moją wyobraźnię, stając się rodzajem wspinaczkowej idée fixe.

W 1972 roku pojechałem na obóz unifikacyjny do Moka. Kierownikiem był Jano Kurczab, którego natychmiast zacząłem wypytywać o szczegóły wspinaczki. Poświęcił mi chyba z godzinę, a rozmowę zakończył taką uwagą: „Stary, to jedna z najpiękniejszych zimowych dróg w Tatrach. Podczas wspinaczki będziesz czuł się tak, jakbyś wspinał się w Alpach”.

Miesiąc później byłem w Jaworowej. Bąbel w ostatnich latach został działaczem ZSP i tym sposobem obóz w Jaworzynie był doskonale przygotowany, jednak nasz zapal wspinaczkowy okazał się niegodny jednej z najpiękniejszych dróg zimowych w Tatrach.

Sześciu dzielnych wspinaczy zjechało do Jaworzyny w towarzystwie narzeczonych, z których cztery w ogóle się nie wspinały. Kilka miesięcy później pięciu z nich zmieniło stan cywilny. Dodam, że tym, który uszedł cało z tego pogromu, byłem ja.

Przez dwanaście dni tylko raz ja i Bąbel podeszliśmy pod ścianę, jednak widok pierwszych ciężkich chmur zakrywających szczyty dał hasło do odwrotu. Śnieg padał przez dwa dni.

Rok 1972 był dla mnie swoistym przełomem – skończyłem studia i po czterech miesiącach intensywnego wspinania w Tatrach, Alpach Julijskich i Durmitorze przeprowadziłem się z Poznania do Bytomia, zapisałem do Gliwickiego Klubu Wysokogórskiego i podjąłem pracę w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Handlu Meblami.

W siedzibie klubu wysokogórskiego powitał mnie Andrzej Czok: „No, wreszcie jesteście. Latem mówiłeś o wrześniu, a tu prawie połowa listopada”. Andrzej skierował mnie do Janusza Baranka, z którym załatwiłem sprawy papierkowe i nawet zapłaciłem składki, a potem usiadłem z Andrzejem i zacząłem się skarżyć, że nie wiem, co robić, bo trzy tygodnie urlopu po roku pracy to przecież kanał. Andrzej zaśmiał się i powiedział: „No, są jeszcze zwolnienia lekarskie i urlopy bezpłatne. Jakoś tam się ułóż. My tutaj robimy tak: pakujesz plecak i gotowy trzymasz w domu, dzwonisz do Zakopca i dowiadujesz się, jakie są warunki.

Gdy pogoda strzeli, to Jurek Kala (Kali) wystawia ci zwolnienie na trzy dni. Jedziesz, robisz drogę, wracasz i znów czekasz. Tajemnicą jest, aby wybierać drogi na ścianach północnych, bo jak wrócisz po chorobie opalony, to mogą cię wyczaić”. „Och, powiedziałem, wyobraź sobie, że mam genialną drogę na północnej ścianie, która czeka na zimowe przejście”. Andrzejkowi zabłysły niebieskie oczy i po piętnastu minutach byliśmy umówieni.

Przez kilka tygodni szlifowaliśmy szczegóły i wreszcie gdzieś w połowie stycznia dostałem rano telefon: „O siedemnastej na dworcu w Katowicach, Kali wyśle do pracy twoje zwolnienie”.

Pod ścianę dotarliśmy jeszcze przed świtem, ale znałem wejście w drogę, więc wystartowaliśmy przy czołówkach. Wspinanie było trudne, czego najlepszym dowodem jest brak zdjęć, mimo że miałem ze sobą aparat. Wieczorem jednak wyszliśmy ponad dolne urwisko i wykopaliśmy w zmrożonym śniegu solidną półkę. Rano pierwszy głowę z płachty wystawił Andrzej. „Trochę prósz, ale to takie poranne przelotne śnieżki”, ocenił.

Przed nami było trzysta metrów piątkowego terenu i oczywiście zejście do Białej Wody przez Rówienki. Po trzech wyciągach okazało się jednak, że Andrzej jest o wiele lepszym wspinaczem niż przepowiadaczem pogody. Przelotny opad zamienił się w kurniawę i spora pyłówka o mało nie zrzuciła Andrzeja, gdy prowadził trzeci wyciągu. Gdy do niego doszedłem, nie było wątpliwości, że się wycofujemy.

Dość szybko i sprawnie wróciliśmy na system ukośnych zachodów zwanych Jurgowską Drabiną. Umożliwiały bezpieczne ominięcie urwiska, które pokonaliśmy poprzedniego dnia. Po dwóch chyba wyciągach doszedłem do niewielkiego kociołka gdzie... skończyła mi się lina. Wbiłem czekan w twarde śnieg i podszedłem do ściany, szukając szczeliny na hak. Wszystkie były zalane, więc zniechęcony wróciłem do czekana i próbowałem wbić go głębiej. Nie chciał wejść, więc zełłaszczony wyjąłem młotek i wbiłem odporne urządzenie aż po głowicę. Założyłem auto i niechcący stanąłem na kilku końcowych metrach liny zasypanej śniegiem między asekuracją a czekaniem. Asekurowałem Andrzeja z ciała, bo teren nie był trudny. Doszedł do mnie szybko i nawet się nie zatrzymał, tylko ruszył, trawersując kociołek. Nagle zobaczyłem, że cały śnieg w kociołku rusza i znika za krawędzią, gdzie jest Czok.

Oczywiście nie było siły, żebym utrzymał jego i kilka ton śniegu, asekurując z ciała. Poczułem silne szarpnięcie i lina ze świstem zniknęła za krawędzią urwiska. Rzuciłem się na czekan i wtedy silne szarpnięcie wyrwało linę, na której stałem. Drugie, nieco słabsze, ułamek sekundy później poszło na auto z czekana. Na szczęście wytrzymał.

Gdy stwierdziłem, że żyję, natychmiast wpiąłem auto i skoczyłem do skałki, gdzie nie tak dawno nie mogłem wbić wbić haka. Teraz szybko wbiłem siedem, ale już przy pierwszym odkryłem, że nie mam żadnych pętli. Wszystkie wziął Andrzej. Miałem na szczęście ławeczki, które wpiąłem do haków i połączyłem z autoasekuracją.

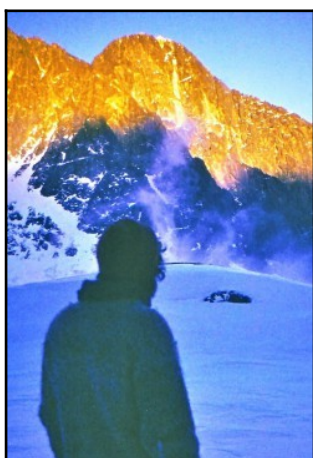
Pewny, że Andrzej nie wisi już tylko na czekanie, zacząłem wrzeszczeć. Odpowiedziała mi grobowa cisza, nie licząc świstu wiatru i hurkotu lawinek. Wołałem tak długo, aż straciłem głos. Zacząłem analizować sytuację. Miałem dwa śpiwory, płachtę i trochę jedzenia, więc na kilka dni wystarczy. Jeśli nas nie znajdą, to przetrawersuję kociołek, asekurując się dwoma ławeczkami. Miałem też deskę i zacząłem nią kopać jamę w twardym śniegu. Po godzinie usłyszałem zduszony krzyk. Andrzej żył! Świadczyły o tym vibracje na linie, szedł do mnie. Po kilkunastu minutach na krawędzi kociołka pojawiła się dziwaczna kreatura. Lawina zrzuciła Andrzejkowi czapkę i jego długie kręcone włosy zmieniły się w śnieżno-lodową czapę.

Dalej było już łatwo, nie licząc malej lawinki, którą wyzwoliliśmy i która zwiozła nas komfortowo na dno Jaworowej.

Do chatki szliśmy długo, ja nawet przysypiałem w marszu. Gdy doszedłem do chatki, Andrzej siedział na schodach. „Zamknięta”, powiedział. „To co, śpimy na werandzie?” – zapytałem. „Nie, kurwa”, syknął Czokuś i włożył czekan w szczelinę przy zamku. Trzasnęło i byliśmy w środku.

Wczesnym rankiem ruszyliśmy w dół. Trzy godziny później byliśmy w Jaworzynie, a wieczorem wsiedliśmy w Krakowie do pociągu relacji Przemyśl-Szczecin, który zatrzymywał się w Bytomiu. Andrzej wysiadł w Katowicach, a ja o północy byłem w Bytomiu.

Mirek Krawczyk



Fot. Mirek Krawczyk

Znikające lodowce – polemika

Artykuł Michała Pyki ([EG 02/2019](#)) oparto na błędnych założeniach. Woda w rzekach himalajskich tylko w niewielkim stopniu pochodzi z lodowców. Podobnie jak woda w Wiśle tylko w nieznacznym stopniu pochodzi z jej źródeł – trzech niewielkich potoczków beskidzkich – wypływa z całej **zlewni**. Gdy popatrzymy na mapy Himalajów, widać, że tylko niewielka część zlewni wielkich rzek to obszar źródłowy – lodowce. Zasilana opadami jest cała powierzchnia zlewni, a obszar zlodowacony to tylko niewielka część. Nie bez racji największe opady występują nie na lodowcu Baltoro, lecz na południowych stokach Himalajów. Obszary źródłiskowe wielkich rzek, takich jak Indus czy Zanskar, znajdują się i tak na terenach poza obszarem monsunowym, z bardzo niskimi opadami. Dopiero niżej zasilane są przez wody opadowe z rejonów o najwyższych opadach na świecie i te opady dają im większość wód. Rola lodowców polega na **retencji opadu**. Zwiększony opad (w partiach źródłowych – śnieżny) nie spływa od razu, lecz jest retencjonowany jako lód i spływa z opóźnieniem, także w porze suchej.

To prawda, gdy nie będzie lodowców, woda będzie spływać znacznie szybciej, co spowoduje większą sezonową falę powodziową. Ocieplenie ma wpływ na zmiany wielkości lodowców, więc zmniejsza się ich retencja. Daje to (odłożony w czasie) zwiększony dopływ do wód dorzecza. Jest to jednak proces długotrwały, proporcjonalny do bilansu zaniku lodowca, w rezultacie mamy więc wzrost, a nie spadek przepływu rzeki, ponieważ oprócz aktualnego opadu i naturalnego topnienia lodowca rzeką spływają retencjonowane w lodzie rezerwy wody.

Ilość wody w rzece zależy od wielkości opadów na terenie całej zlewni, a nie tylko jej obszarów źródłowych. I nie ma znaczenia, czy źródłem rzeki są wody z lodowca czy z deszczu. Nie wiem, czy teraz, w czasie ocieplania się klimatu, opady rosną czy nie (ważne, w jakich obszarach zlewni). To bardzo skomplikowane obliczenia i zapewne są dokonywane, nie ma jednak dowodów na to, by rzeki wysychały.

Oczywiście zjawiska ekstremalne, takie jak tworzenie okresowych tam, a potem ich pękanie, występowały zawsze (np. po trzęsieniu ziemi w Taszkencie w 1965 r.). Są też obserwowane na Islandii jako tzw. flopy – na szczęście nie są to tereny gęsto zaludnione. Z powodu globalnego ocieplenia takie zjawiska będą coraz częstsze.

Maciej Włodek

Kronika kulturalna

Beata Słama

Anna Kamińska, autorka doskonałej biografii Wandy Rutkiewicz, tym razem postanowiła napisać o Halinie Krüger-Syrokomskiej. Recenzję książki *Halina* możecie przeczytać tu: <https://wspinanie.pl/2019/06/halina-gory-i-inny-zycie-o-ksiazce-halina-opowiesc-o-himalaistce-halinie-kruger-syrokomskiej/>. To pozycja zdecydowanie godna polecenia!

Przed nami jesień premier książkowych. Nakładem wydawnictwa Znak ukaże się książka Julii Hamery zatytułowana *Leszek Cichy, Marek Kamiński. Trzy bieguny. Dotknąć niemożliwego*. Himalaista i polarnik opowiadają, jak się spotkali, co ich łączy i dzieli, wspominają dzieciństwo, młodość i wyprawy i snują plany na przyszłość.

Druga książka Znaku poświęcona górom opowiada o pionierkach i gwiazdach wspinania – od pań zdobywających alpejskie szczyty w długich spódnicach i w towarzystwie przewodników, po wybitne himalaistki współczesne. Książka nosi tytuł *Pierwsze na linie*, jej autorkami są Caroline Fink i Karin Steinbach. Stanowi ona doskonałe uzupełnienie książki Diny Štěřbovej *Tęsknota i przeznaczenie* (Stapis).

Wydawnictwo Mountain Quest wydało wspomnienia Andrzeja Machnika *Górskie przygody i draki*.

Choć do września daleko, odliczamy już dni do XXIV Festiwalu Górskiego im. Andrzeja Zawady w Łądku-Zdroju (19-22 września). W tym roku podczas imprezy odbędzie się gala wręczenia Złotych Czekanów – nie wątpimy, że będzie tak wspaniała i wzruszająca, jak w zeszłym roku. Złoty Czekan za całokształt osiągnięć górskich otrzyma Krzysztof Wielicki. Tematem przewodnim festiwalu będzie osiemdziesiąt lat polskiego himalaizmu.

Ukazała się niezwykle cenna pozycja, *Hindukusz. Kalendarium polskich wypraw alpinistycznych 1960-1983* Andrzeja Sobolewskiego. Wydawcą jest KW Warszawa.

Pożegnania

W dniu 9 maja 2019 zmarł w wieku 94 lat Czesław Paweł Mrowiec, mgr inż. chemik, długoletni wicedyrektor Filmoteki Polskiej, powstaniec warszawski, żołnierz AK ps. Mat, zgrupowanie „Kryśka”, odznaczony wieloma medalami wojskowymi i cywilnymi, taternik, alpinista i strażnik przyrody.

W 1956 roku uczestniczył w pierwszych wejściach zimowych na Podufałą Turnię i Podufałą Basztę, w pierwszym przejściu zimowym drogi południowo-zachodnim żebrzem na Rogatą Turnię i w wejściach nowymi drogami na Baniastą Turnię, Dziką Turnię i Pośrednią Grań. W 1957 roku wszedł na wschodni wierzchołek Elbrusa i na Kojawgan-baszy w Kaukazie. W 1957 roku dokonał pierwszego zimowego przejścia Grani Tatr w zespole z Jerzym Krajskim, Waldemarem Olechem, Andrzejem Sobolewskim, Szymonem Wdowiakiem i Andrzejem Zawadą.

16 listopada 2019 odszedł w wieku 70 lat Leszek Dumnicki, jaskiniowiec i alpinista. Uczestniczył w eksploracjach jaskiń tatrzańskich, między innymi w odkryciu północnego otworu Jaskini Czarnej i górnego otworu Bańdziocha Kominiarskiego. Brał udział, jako uczestnik (1973) i kierownik (1976, 1977), w wyprawach eksploracyjnych, które zapoczątkowały polską działalność w austriackim masywie Leoganger Steinberge. Kierował także eksploracyjnymi wyprawami w niemiecką część masywu Hagengebirge (1984–1987). Był inicjatorem i kierownikiem wypraw do Grecji (1978, 1979, 1980). W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku uczestniczył także w wyprawach do jaskiń Jugosławii, Francji (jaskinia Pierre Saint Martin) oraz Iranu i Libanu.

Klub Wysokogórski Kraków z głębokim smutkiem informuje o stracie towarzysza, kolegi i nauczyciela, na którego aktywność i wsparcie zawsze można było liczyć. Leszek przez wiele lat pełnił różnorakie funkcje organizacyjne, przez ponad dwadzieścia lat był członkiem zarządu STJ KW Kraków, a w latach 1975–1986 przewodniczącym tej sekcji. Był także prezesem KW Kraków.

Sprostowanie

W poprzednim numerze [EG 02/2019](#) błędnie podane zostało nazwisko autora zdjęcia *Nad Czarnym Stawem*. Zrobiła je Małgorzata Chwaścińska-Sharel (jest na nim z Januszem Pacem). W internetowej wersji gazetki błąd został poprawiony. Bardzo przepraszamy.

Email do redakcji:

echagor@kw.warszawa.pl